№ 40. Warszawa, dnia 24 Września (6 Października) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs.3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Nowe obserwacye planety Marsa.

Mars z planet wyższych, najbliższa słońca, odległą jest od niego o 36 milionów mil geograficznych a od ziemi rozmaicie, począwszy od 10 do 51 takichże mil, stosownie po której stronie słońca ziemia nasza znajduje się. Jeżeli razem są po jednej stronie, odległość naturalnie zmniejsza się i znów zwiększa się, gdy ziemia przechodzi na drugą stronę.

Mars bowiem dwa razy prawie krąży wolniej wkoło słońca niż ziemia, ma też dni 687 a dzień jego wynosi 24 godzin i 37 minut. Ponieważ odległość Marsa od ziemi jest rozmaitą, więc i światło jakie odbija od siebie czerwone, bywa różnej barwy, to słabsze, to znów mocniejsze. Zmiany te w natężeniu światła, niegdyś tłomaczone były jako zapowiedzi krwawych, wojennych na świecie wypadków i ztąd to zapewne i nazwa Marsa boga wojny, planecie tej nadaną została.

Objętość Marsa jest siódmą częścią objętości ziemi i zdaje się, że planeta ta przedstawiająca wiele podobieństwa z naszą ziemią, jest przez istoty żywe równie jak ziemia zamieszkałą, gdyż otoczona atmosferą, spłaszczoną jest przy biegunach, przy których morza podczas nocy trwającej dwanaście miesięcy, zapewne powlekają się lodami topniejącemi za nastaniem dnia równie długiego. Że zaś oś tej planety z płaszczyzną drogi, jaką koło słońca przebiega, tworzy kąt niewiele różniący się od kąta zawartego między osią ziemi i ekliptyką, pory więc tam roku muszą następować po sobie w tym samym porządku jak na ziemi.

W bieżącym roku w połowie Kwietnia, ziemia w obiegu swym znajdowała się pomiędzy Marsem i słońcem, a więc w położeniu najdogodniejszem do obserwacyi tej planety. Te prowadzone w porach podobnych z jak największą zawsze ścisłością doprowadziły do poznania wielu szczegółów, ale żaden z astronomów nie dokonał tak ważnych odkryć, jak dyrektor medyolańskiego obserwatoryum Schiaparelli. Badania swe rozpoczął w roku 1877, a ogłoszone w roku następnym rezultaty, obfitością szczegółów tak zdziwiły astronomów, iż wyrodziły usprawiedliwioną poniekąd wątpliwość, czy odkrycia te nie są czasem płodem fantazyi? Niedowierzanie to przecież w obec powagi Schiaparellego, który dawniejszemi pracami o kometach, zdobył sobie sławę jednego z najznakomitszych badaczów, istniało krótko. Następne obserwacye dokonane przez innych, stwierdziły stanowczo wyniki badań astronoma włoskiego. Oto w czem się one zawierają.

Gdy na ziemi większą część jej powierzchni stanowi woda, na Marsie przeciwnie przeważa ląd stały. Nie tworzy on wielkich całości, jak np. nasze części świata, lecz składa się z lądów małych wysp, które szczególniej w pasie równikowym ciągną się nieprzerwanym łańcuchem. Poprzecinane siecią kanałów, idących w kierunku południków, formują konglomerat wysp i przeniesione na kartę, przedstawiają formę niejako szachownicy. Schiaparelli nazwał te połączenie wodne kanałami, chociaż szerokość ich jest tak wielką, iż nie odpowiada pojęciom naszym o kanałach.

Uderzającą sprzeczność z tem co widzimy na ziemi, stanowią bieguny, podczas bowiem, gdy na ziemi pokryte są one zawsze lodami i śniegiem, na Marsie lody i śniegi, objawiające się barwą białą, ustępują często zupełnie, a na ich miejscu daje się dostrzegać błękitno-zielony kolor morza. Zważywszy, iż Mars, jako znacznie więcej niż ziemia, oddalony od słońca, otrzymuje zaledwie dwie piąte tej ilości słonecznego ciepła, jaka do nas dochodzi, zjawisko to wydaje się dziwnem. Daje się jednak objaśnić dwa razy większą długością roku, a więc i pory letniej, podczas której słońce ma więcej czasu do roztopienia śniegów i lodów.

W dwa lata później Schiaparelli spostrzegł, iż ilość kanałów zdwoiła się, a nadto wszystkie nowopowstałe miały formę regularną i szły w kierunku równoległym do dawniejszych. Dalej spostrzegł, iż niektóre nowe ich linie powstały w przeciągu kilku dni, wszystkie zaś tworzyły dokładnie, prawie geometrycznie wykreśloną figurę. Ta to właśnie dokładność formy w ustosunkowaniu lądów do wody, nieznana na planecie naszej i innych, zrodziła hyyotezę powstawania tych kanałów środkami sztucznemi, a zatem istnienia na Marsie istot inteligentnych.

Pierwszym z astronomów, któremu udało się sprawdzić powyższe zjawiska, był Perrotin, dyrektor obserwatoryum w Nicei. Zainteresowany tak ważnemi odkryciami, poświęcił się on od r. 1886 wyłącznie badaniom Marsa, długi czas jednak szczegółów spostrzeganych przez Schiaparellego, dostrzedz nie był w stanie. Dopiero w roku bieżącym w Kwietniu, dzięki doskonałym warunkom atmosferycznym, mógł sprawdzić najzupełniejszą wiarogodność obserwacyi swego włoskiego kolegi, ale zarazem przekonał się, że przez tak krótki przeciąg czasu, zmiany na powierzchni naszego sąsiada zaszły tak wielkie, iż tylko działaniem sił przyrody, jakąś straszną katastrofą, lub też dopiero stanem formacyi skorupy marsowej tłomaczyć je można.

I tak, znikł cały kontynent zwany Libią. Ląd ten wyrównywający wielkością Francyi, rozciągał się po obu stronach równika i otoczony był z zachodu i południa morzem, a na północy i wschodzie odgraniczony kanałami. Cała ta część planety różowy swój kolor właściwy lądom, zmieniła na zielono-niebieski właściwy wodom na Marsie. W kierunku równoległym do równika, na północ od Libii uformował się nowy kanał długości 20 stopni i od 1 do 1 i pół stop. szerokości. (Jeden stopień na Marsie ma długości 59 kilomet.).

Sprawozdanie o tych zmianach, odczytane w paryzkiej akademii umiejętności w dniu 14 Maja, wywołało żywą dyskusyę między uczonymi, ale nim nauka zdołała wyjaśnić powody tak wielkich przewrotów, astronom nicejski na posiedzeniu tejże akademii donosi znowu, że na miejscu zatopionej Libii objawił się kolor różowy, czyli, że zatopiony ląd wynurzył się z głębi morskich i że do kanałów dawniej istniejących, przybyły nowe, jeszcze dłuższe i szersze.

Taki jest stan rzeczy w tej chwili w naszem sąsiedztwie.

Ale co sądzić o tych przewrotach?

Jeżeli słuszną jest hypoteza, objaśniająca barwę zielono-niebieską istnieniem wód, a różową lądów, to przedewszystkiem nasuwa się uwaga, iż na Marsie różnica poziomu lądów i mórz, musi być bardzo mała, w skutek czego lądy te od czasu do czasu ulegają zatopieniu; prawdopodobnie powtarza się to peryodycznie i ma związek ze zmianami pór roku, a być może, jak tłomaczą inni, z powodami natury wulkanicznej.

Następne badania wyjaśnią zapewne powody tych przewrotów, dzisiaj to tylko pewne, że rzeczywiście odbywają się one, że ważne odkrycia Schiaparellego zostały stwierdzone i że fantastyczna hypoteza, jakoby wodne kanały były dziełem istot inteligentnych lub sygnałami adresowanemi do nas w celu porozumienia się w jakich kwestyach sąsiedzkich, jak to niektórzy się domyślali, że hypoteza ta, jakkolwiek bardzo ponętna, pozbawioną jest przecież wszelkiej podstawy.

I naród cyklopów nie zdołałby w przeciągu niewielu dni zatapiać lądy tak wielkie jak Francya i wydobywać je znowu nad powierzchnię morza.

ZŁUDA.

Lubię złudę, co w skrzydła pochwyca ogniste,
I unosi w kraj piękny dla oka, jak tęcza,
Co za swoją znikomość blaskiem się wywdzięcza,
I do stóp twoich zgina nieba przezroczyste.

Lubię obrazy w blasku księżyca srebrzyste,
Gdy mgła biała, subtelna, jak w przędzy pajęczej,
Wzlatując jako ptaszę do niebios obręczy,
Wabi cię pieszczotliwie w przestworza wieczyste.

Nie lubię złudy, gdy się w świat idei wkrada
I na lodach buduje zamki tajemnicze,
Z których każdy z kolei w płyty się rozpada,

A nowy fałsz odziany w blaski prawd zwodnicze,
Jak zwycięzca na dawnych zwaliskach zasiada,
I nim runie zuchwałe podnosi oblicze!...

Wł. Trzciński.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napieralską.

(Dalszy ciąg.)

Horcia pocałowała mnie w głowę i wybiegła.

Nastąpiła chwila bezbrzeżnej rozpaczy. Złorzeczenie na wszystkich i wszystko wybiegło z uciśnionej piersi, spędzone wnet lepszem natchnieniem. O! siły, o! pomocy, do zwalczenia pochłaniającej mnie całą namiętności. I krzyk boleści rozrywał mi serce i gorycz nieopisana przejmowała. Gdzie Bóg? aby pocieszył, gdzie modlitwa, aby uspokoiła? Nic dla mnie, nic!... Wokoło próżnia, pusto, głucho, tylko szelest wijącej się na dywanie mej postaci, rozpraszał tę przerażającą ciszę.

W dwa dni później, baronostwo wydawali dla mnie pożegnalny obiad. Ostatni to raz stroiłam się przed wspaniałą tualetą.

— Co znaczy ten cały czarny kostyum? — zawołała kuzynka, ujrzawszy mnie całkiem ubraną.

— Jest ci prześlicznie w tym kolorze z twoją alabastrową twarzyczką, ale zlewa się to razem w jakiś wyraz nieopisanej smętności. Wyglądasz romantycznie, niezmiernie zajmująco i na obiad proszony byłaby może właściwsza jasna tualeta.

— Za to dla takich, jak ty kuzynko szczęśliwych, wypada właśnie różowy strój, odpowiedni łunie rumieńca — odparłam z udaną swobodą.

— Jeżeli prawda co ludzie mówią o zastosowaniu tualety zgodnie z usposobieniem, w takim razie, przyjmuję to w zupełności do siebie. Z drugiej jednak strony, nie pojmuję twej czerni. Poznasz na obiedzie ojca Witalisa. Śliczny człowiek mimo wieku.

Rzeczywiście, czarne moje ubranie odbijało się dziwnie od tła różnokolorowych sukien damskich. Vis-a-vis moje, baronówna, cała w różowej, lekkiej materyi, siedziała obok Witalisa, na którego nie śmiałam podnieść oczu. Pierwszy to raz widziałam go od czasu koncertu. Ojciec Witalisa przedstawiał się znakomicie. Podobieństwo rysów jego do syna było nadzwyczajne. Całość licowała się szlachetnie, po pańsku. Liczne toasty sprowadzały coraz żywszą wesołość. Baronowa ze zwykłym, choć obecnie jeszcze podniesionym wdziękiem, pełniła urząd gospodyni domu. Baron, zwyczajnie też na drugim planie, krzątał się przy damach, posyłając niekiedy uszczęśliwione spojrzenie w stronę córki i przyszłego zięcia.

Po obiedzie, goście rozproszyli się w salonie, jedna tylko ja, nie czując w sobie najmniejszej chęci do obcowania z innymi, rzuciłam się na ustronnie stojący fotel, przeglądając bezmyślnie jakąś książkę.

Niedługo jednak trwała ta samotność. Najniespodziewaniej z za poręczy fotelu doleciał mnie głos tak dobrze znany, na którego dźwięk przeszedł teraz dreszcz po całem ciele.

— Panno Anno — mówił ten głos zwolna. — Przychodzę pożegnać panią. Podobno opuszczasz nas pani.

— Tak — wybiegło z drżących warg.

— Wszak wolno mi zapytać, czy zdrowie pani nie cierpiało ani trochę od czasu... czasu zemdlenia w cieplarni.

— Zdrowie? — powtórzyłam z mimowolną goryczą — nie posiadam takich słabych nerwów, jak pan może sądzi.

— Ja nic nie sądzę, nie mam na to upoważnienia od pani. Dostrzegam w jej słowach cierpkość ukrytą.

— Czy ze wszystkiem występuje się jawnie? Czy w najlżejszej na pozór istocie, nie może ukrywać się to, o czem nie przyśniłoby się patrzącym na nią? — zapytałam gwałtowniej, zapominając o powściągliwości koniecznej po przejściu z Witalisem.

— Ależ nie rozumiem wcale celu tych pytań, panno Anno? Na każde z nich jestem pewien, odpowiadać umiesz. Czemuż więc właśnie mam być wyzwany do odpowiedzi?

Słowa te sprawiły na mnie wrażenie oblania zimną wodą.

— Przepraszam, nie powinnam tego wymagać od pana, nie powinnam...

Urwałam nagle. Witalis zatopił we mnie takie badawcze, głębokie spojrzenie, jak wówczas, gdy zadrżałam przy jego ramieniu.

— Nie pojmuję od pewnego czasu postępowania pani ze mną. Nie widzę skrupułu, dla jakiego miałbym taić moje zdumienie. Bądźmy szczerymi, panno Anno, przed chwilą rozstania. Prawdopodobnie, drogi naszego życia rozejdą się na długo, jeśli nie na zawsze nawet. Może już nigdy nie nastąpi okazya, podobna dzisiejszej, do rozmowy. Czy więc raczy mi pani powiedzieć, czem zasłużyłem na postępowanie, dające mi wyraźnie poznać, że popełniłem jakąś winę, do jakiej, ręczę słowem honoru, nie poczuwam się wcale.

— Nie mówmy o tem — wyszeptałam z trudnością.

Głos zaledwie dosłyszalnie wydobywał się z piersi, gwałtownie falujących.

— Zapomnimy wzajemnie o sobie, panie Witalisie, więc...

I chciałam wyciągnąć doń rękę, ale opadła mi w czarne koronki sukni.

— Widzisz pani. Daremnie usiłujesz walczyć przeciw sobie samej. Dłoń wymawia posłuszeństwa. Jestżem przestępcą niegodnym dotknąć ręki twojej? — kończył żartobliwie. — Wierzaj panno Anno, że jeśli miałem nieszczęście narazić ci się w czemkolwiek, stało się to bezwiednie z mej strony. Zamiar utrwalenia się w pamięci pani, w sposób mniej więcej dotkliwy, dalekim był zawsze od

mej myśli. Jeśli zawiodłaś się pani na mnie pod jakimkolwiek względem, przepraszam za to najmocniej chociaż powtarzam, że postępowanie moje nie przekroczyło bynajmniej granic zakreślonych konwenansem. Na mocy więc tego, żegnam panią, życząc najserdeczniej powodzenia. Jesteś pani tak młodą i nieznającą życia, że w natłoku licznych, czekających na ciebie wrażeń, zapomnisz łatwo o intruzie takim jak ja, jeżeli on na chwilę chociaż zamieszał twój dotychczasowy spokój. Odnośnie do mnie samego, powiem, że we wspomnieniach mych znajdzie pani pomieszczenie, jako prawdziwie sympatyczna osoba.

I wyciągnął do mnie białą, kształtną rękę. Zawahałam się z podaniem mojej; było to przecież krótkie, jak mgnienie oka. Położyłam wreszcie moją drżącą dłoń na jego dłoni. Uścisnął zlekka, lecz długo, spojrzał raz jeszcze przeciągle, odwrócił się i zniknął w najbliższych drzwiach na zawsze.

Zdawało mi się, żem skamieniała. Zwolna, zwolna, krew, jakby mi zamarzała w żyłach, odchodził ode mnie żal, tęsknota, namiętność, ale z tem wszystkiem, jakby mi przybyło nagle kilka lat życia.

I znów znalazłam się na dworcu kolei żelaznej. Jakże całkiem inna przybyłam tu niedawno, a teraz... Podobna do automatu, pozwalałam pożegnać się, pomódz wsiąść do wagonu i niezadługo ścigałam martwem okiem niknące okolice Warszawy, pozorując przed matką stan mój zmęczeniem.

III.

Nadeszła śliczna wiosna. Cała natura odżyła na nowo, cała ziemia przystroiła się w odświętne szaty. Wdzięki jej upajają, pieśń jej rozumie dobrze złota, pełna nadziei młodość. W naszej Wólce, łany pokrywały się jak zwykle falującym kłosem, tysiące fiołków zasłało kobierce trawników, fletnia pasterska dzwoniła donośnie, wesoły ruch wszczynał się wszędzie.

Mama moja z niezmęczoną troskliwością zajmowała się wszystkiem, a ja? Wracał mi niekiedy dawny mój humor, chociaż już nie tyle swobodny. Miałam i częste chwile zadumy, ale te kończyły się zawsze szyderskim, gorzkim uśmiechem. Usiłowanie w celu zapomnienia o najpierwszym, więc najboleśniejszym zawodzie, udawało się czasem.

Sztuczne ożywianie podniecało mnie do najwyższego stopnia, śmiech szalony prawie towarzyszył temu. Zapragnęłam też korzystać z lekcyi kokieteryi, otrzymanych na wielkim świecie. Zastosowanie ich do naszéj okolicznej, wiejskiej młodzieży, odznaczało się świetnym rezultatem.

Co to szkodzi igrać z ludźmi jak z cackiem? Któż będzie cierpiał za wbicie na szpilkę płochego motyla? Nie ja, byle tylko nie ja! Zarzucałam różowe sieci uśmiechów na podobieństwo sidełek dla ptaków i dopiero poczuwszy zdobycz w ręku, szarpałam mocno nitką, odwracając głowę z zalotnym ruchem. Niech tam sobie ptaszek złamie skrzydełko, niech traci zdolność do lotu, wszakże nie moja osoba jest tym ptaszkiem. Do tego z kim dzisiaj łączyła mnie więcej niż przyjazna pozornie rozmowa, jutro nie zwróciłam się doń ani z jednem słówkiem. Nie brak konkurentów, ale brak stanowczości w wyborze ich czuć się dawał najdotkliwiej mamie.

— Dziecko drogie — mówiła nieraz — radabym widzieć twój los ustalony. Jestem wdową, kobietą nie pierwszej młodości, czyż wiadomo jak długo jeszcze pożyję? Dlaczego tak przebierasz między wszystkimi starającymi się o twą rękę?

— Mamusiu, jeśli mi każesz wyjść za mąż, wyjdę. Wszystko mi jedno.

— Ależ nie żądam bynajmniej, abyś szła wbrew skłonności.

— Któż, mamusiu, mówi o skłonności? Przyzwyczajenie staje się drugą naturą ludzką. Tak sądzę we wszystkiem, a więc i w zamążpójściu.

— Wolałabym zawsze pociąg serca — brzmiała odpowiedź mej matki.

— Pociąg serca — powtarzałam znów — to mrzonki, to gorączka, nic więcej.

— O! Anusiu, z tobą stało się coś dziwnego w tem wielkiem mieście. Za moich młodych czasów inaczej rozumowano. Miłość stanowiła fundament życia małżeńskiego.

Oto treść rozmów o mojej przyszłości. Zapytacie pewnie czytelnicy o brunatnego Sokoła?

Nie był on bezwątpienia w niczem podobny do innych, jak mówiono w gronie ludzi nie sądzących interesownie. Powszechny głos w okolicy mianował go wzorowym obywatelem, człowiekiem mogącym stanowić ozdobę całego bodaj powiatu. Młodzieniec, jakich mało, obiło się nieraz o me uszy, a jednak ani razu dotąd nie przyszła mi chęć poznania bliżej tego Sokoła. Zawsze dlań zimna, pogardliwa prawie, ponawiałam z nim niekiedy przymierze zaczepno odporne, co zresztą było najrzadszym wyjątkiem. Mama widywała chętnie jego wizyty, czasem nawet kazała mi dorzucić jaki szczegół do mej codziennej zwyczajnej tualety.

— Bądź dobrą, wesołą dla niego. On zasługuje na więcej niż wszyscy.

Posłuszna, próbowałam zabawić się z nim, ale po wyjściu z salonu, zostawszy samą w mym pokoju, zapominałam już o nim. Gwiaździste, wiosenne noce widywały mnie wpatrzoną w ich tajemniczą, bezmierną przestrzeń, Z szumem wysmukłych, pachnących topoli, wpływało w mą duszę czasem tchnienie spokoju. Świat taki piękny, ziemia posiada tyle nieprzepartych uroków, czyż podobna nie znaleźć na niej odrobiny zadowolenia na swą wyłączną własność?

Lubiłam także całemi godzinami szybować łódką po szklanej toni jeziora. Gdybyż rzucić wiosło, zdając się na łaskę i niełaskę fal? Możeby wartki prąd uniósł gdzie w stronę, w jakiej czekały ulga serdecznego bólu? O! jakże chciałam zapomnieć! Czyżby to było działanie powolnej reakcyi?

Zdarzało się jednak na podobieństwo ciemnej chmury, przepływającej niespodziewanie na niebieskim lazurze w dzień słoneczny, letni, wspomnienie Witalisa. Zdawał się być marą już tylko, widmem odstraszającem, lecz na to, abym tłumiąc na ustach wykrzyknik żalu, wyciągnęła ręce, jakby dla uchwycenia... Z dzikim pewnie błyskiem w oczach, zanurzałam wiosło, płynąc na oślep. Tam, tam, w głębi srebrzystej otchłani, czeka wieczny spokój. Zimne nurty jeziora ochłodziłyby na zawsze płonące czoło, rzuciły śmiertelną powłokę na zranione serce.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Berlińska siedziba ks. Bismarka.

Wśród szerokiej, pustej Wilhelmstrasse, jest duży, wgłębiony w podwórze pałac, czyli wielokrotnie opisywana siedziba ks. Bismarka. Charakterystyką tego domu jest wszelki brak odpowiedniej wystawności. Kręci się po nim stara, w wytartych liberyach służba, która otwierała już drzwi tylu cesarzom i królom, że blask korony nie olśniewa jej wcale.

Prawdziwe jest opowiadanie o szwajcarze pałacu kanclerskiego, któremu rozkazano pewnego dnia nie przyjmować już nikogo. Wtem melduje się król belgijski.

— Niech wasza królewska mość przyjdzie tu jutro, teraz *on* śpi.

Leopold II uśmiechnął się, odszedł i... wrócił dopiero nazajutrz.

Ten brak pozy nie jest prostotą; przeciwnie, mieszkańcom tego domu zdaje się, że ludzkość powinna wszystko przyjąć od tej nadludzkiej wielkości. W murach tych zajmują się tylko *nim*, nim jednym. Jak spał? Co będzie jadł na śniadanie? Czy pojedzie dziś do parlamentu? Około tych kwestyi obracają się rozmowy całej rodziny. Od lat kilku rozstrzyga w sprawach tych nadworny lekarz księcia, profesor Schweininger.

Dawniej jedzono bardzo obficie w domu przy Wilhelmstrasse. Przy obiadach w ścisłem kółku występowało nie mniej jak 12 dań i parę tuzinów butelek. Od czasu jak profesor Schweininger prowadzi kontrolę nad stołem swego dostojnego pacyenta, jadłospisy znacznie się skróciły: dwie potrawy na obiad, śniadanie i kolacyę, bez piwa i wina. Człowiek o woli żelaznej, któremu ulega cała prawie Europa, posłuszny jest jak dziecko najmniejszym przepisom swego młodego lekarza. Co prawda doktor Schweininger pielęgnuje go z wielką troskliwością, zajęty jest nim wyłącznie i zdołał już kilkakrotnie wybawić od niebezpiecznych ataków. Rano wchodzi on pierwszy do gabinetu księcia, aby sprawdzić, czy Niemcy mogą nie drżeć o życie wielkiego swego kierownika (jak się wyraził Wilhelm II) i jest zawsze obecnym przy śniadaniu kanclerza.

Książę, tak akuratny w sprawach polityki, jest nim znacznie mniej, gdy chodzi o obiad. Jest za to przy stole w wyśmienitym humorze. Po obiedzie kładzie się na szezlongu, zapala fajkę i lubi opowiadać wypadki historyczne, któremi kierował; lubi także, aby go słuchano w milczącym zachwycie.

Gdy nie ma gości oficyalnych, obiad odbywa się w małem kółku: oboje księstwo, hrabina Rantzau, ich córka z mężem, hr. Herbert, profesor Schweininger i pan Rottenburg, naczelnik kancelaryi państwa.

Ten ostatni jest jednym z bardziej wpływowych ludzi: załatwia wszystkie sprawy, którym kanclerz nie może sam podołać, odpowiada na petycye, pisuje listy z podziękowaniem do osób, które przesyłają podarki wielkiemu mężowi stanu, towarzyszy zawsze kanclerzowi w podróżach i jest jego najwierniejszym sługą i przyjacielem. Dr Schweininger i on są jedynymi ludźmi, bez których Bismark obejść się nie może, jedynymi, którzy umieli

pozyskać sympatyę całej rodziny, gdyż jakkolwiek ceni ona ludzi użytecznych dla kanclerza, nie dopuszcza ich do bliższej z sobą zażyłości. I tak np. bankier Bleichröder, który tylokrotne oddał księciu usługi, nie bywa nigdy zapraszanym przez jego rodzinę. W salonach na Wilhelmstrasse bywają przeważnie mężczyzni. Z kobiet dwie tylko: księżna Fürstenberg, córka ks. de Sagan i księżna Radziwiłłowa z domu Branicka, nadają weselszy ton zebraniom tym, zwanym „Reichsbierabende”, z powodu, że pije się na nich piwo warzone specyalnie na ten cel w Monachium.

Książę Bismark nie lubi obowiązków towarzyskich, nudzą go one; pogardza światem i jego formami. Szczęśliwy jest tylko na łonie rodziny. Faworytką jego jest hr. Rantzau. Jest-to kobieta rozsądna, praktyczna, bez cienia kokieteryi; na strój zapatruje się jedynie jako na ochronę przeciwko mrozom i upałom; kocha bardzo swego męża i dzieci, zwłaszcza najstarszego synka Ottona, który przychodzi codziennie w mundurze kirasyera powiedzieć dzień dobry dziadkowi swemu i chrzestnemu ojcu.

Hrabia Rantzau, będący obecnie ambasadorem pruskim w Monachium, jest charakteru posępnego i mało ma przyjaciół. To jedno można o nim powiedzieć. Osobistość jego niknie wobec olbrzyma z Wilhelmstrasse. A jednak olbrzym ten jest kochającym, a nawet czułym ojcem.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Powyższa rozmowa dała wiele do myślenia Emilii, posiadała ona dużo przenikliwości, aby mogła uwierzyć w usprawiedliwiające dowodzenia Ludwika i postanowiła bądź co bądź dowiedzieć się w jaki sposób zabawiał się towarzysz jej lat dziecinnych. Wypytując zręcznie niektóre osoby często spotykające się z Ludwikiem, dowiedziała się w przeciągu tygodnia, że ten ostatni przepędzał najczęściej wieczory u pani Olifaunt.

Pomimo pozornego spokoju, Helena również w głębi duszy nie wierzyła w szczerość słów męża, ale wprost przeciwnie jak Emilia, nie chciała wiedzieć o niczem. W tym razie przekładała wątpliwość nad pewność, czuła że gdyby była przekonaną o prawdzie, szczęście jej znikłoby bezpowrotnie. Zamykała więc oczy i zatykała uszy, aby nic nie widzieć i nic nie słyszeć. Zawsze odważna i mężna teraz okazała się słabą i bezsilną jak dziecię.

Wśród niepokoju i podejrzeń szarpiących jej serce, dziecię było jedyną jej pociechą i osłodą. Obok niego dopiero ukazywała się w całym blasku piękności i wdzięków; macierzyństwo nieprzepartym otaczało ją urokiem, rozjaśniając szlachetną jej twarz wyrazem takiej anielskiej czułości, że najobojętniejszy człowiek nie mógłby patrzyć na nią bez wzruszenia.

Radość i duma błyszczały w jej oczach a na ustach słodki osiadał uśmiech, gdy trzymając swego chłopczynę w objęciu i kołysząc go z lekka jak w ciepłej i miękkiej kolebce, śpiewała mu półgłosem łagodne piosenki, mające go utulić i uśpić.

Gdy dziecię wyspane i różowe, wyciągało do niej rączęta, młoda matka zachęcała je do igraszek i wesołości, rozkoszując się dźwiękiem srebrzystego śmiechu, wydobywającego się z małego gardziołka. Matka i dziecię tworzyli wtedy obrazek pełen takiej poezyi i prostoty, że gdyby Ludwik raz tylko przypatrzył się igraszkom dziecięcia i radości Heleny, serce jego głębokiem przejęłoby się wzruszeniem. Widząc młodą matkę z taką troskliwością pielęgnującą synka, uczułby miłość silniejszą i trwalszą niż obecna, gdyż opierającą się na tkliwości i szacunku. Zrozumiałby, że Helena jest nietylko wzorową żoną lecz godną uwielbienia matką i że jeśli węzły łączące ich z sobą rozluźniły się nieco, okowy silniejsze wypływające bowiem z wdzięczności, powinny go zatrzymać obok tej szlachetnej istoty.

Lecz zamiast iść za żoną do dziecinnego pokoju, przesiadywał najczęściej w gabinecie z cygarem w ustach lub w salonie zajęty przeglądaniem dzienników. Naprożno babcia zachęcała go, aby poszedł pobawić się z synkiem.

— Chodź popatrzyć jak rozbierają małego Piotrusia — mówiła mu nieraz — śliczny chłopiec... warto posłać go na wystawę; gdybyś częściej się z nim bawił, zachwycałbyś się jego figielkami i pięknością.

Ludwik z uśmiechem słuchał przesadzonych, jak je w duchu nazywał pochwał babuni i zbywał je ogólnikami dowodząc, że mąż nie powinien wtajemniczać się w drobne szczegóły wychowania dzieci.

— Bierzmy przykład z Anglii — mówił — tam pokój dziecinny jest zawsze oddalony od komnat rodziców, żeby nawet żaden hałas nie dochodził ich uszu.

— Ależ, mój drogi chłopcze — tłomaczyła mu babcia — ten malec nie krzyczy nigdy, on tylko śmieje się i gwarzy, to cudowne dziecko! Helena wychowuje go jak księcia, co za koronki ma ten panicz!

— Nie przeczę, że Piotruś jest bardzo miluchnem dzieckiem, ale pomimo to, wszystkie dzieci są zawsze do siebie podobne. I mój syn bardziej nęcić mnie będzie ku sobie skoro zacznie już mówić na dobre.

Babcia powtarzała sobie w duchu z westchnieniem, że Ludwik dobrowolnie pozbawia się wielu przyjemności a nie mogąc go namówić do pokoju dziecięcia, szła doń sama i przesiadywała w nim długie godziny, wpatrując się z zachwytem w malca, śpiącego spokojnie w kolebce z piąstkami zaciśniętemi koło różowej buzi i jasnemi włoskami wymykającemi się z pod koronkowego czepeczka.

Helena siedząc zazwyczaj przy oknie, robiła na drutach trzewiczki z białej wełny, lecz myśl jej błąkała się zdala od tego szczęśliwego przybytku, gdzie żył jej anioł pocieszyciel. Nieraz zapytywała się z trwogą, czy nie zbłądziła przez egoizm macierzyński poświęcając miłość męża dla dziecięcia? Zawsze szlachetna i wspaniałomyślna usprawiedliwiała Ludwika, siebie jedynie obwiniając i bynajmniej za złe mu nie brała, że po za domem szuka rozrywek i przyjemności. Pojmowała aż nadto dobrze, że niewolniczość, która dla niej stawała się źródłem nieprzebranych rozkoszy, nie mogła podobać się mężowi. Człowiek przywykły do życia światowego nie mógł lubować się ciągle w ciszy domowego ogniska.

Pomimo tych wszystkich argumentów, jakiś tajemny głos szeptał do ucha Helenie, że przy odrobinie dobrej chęci Ludwik mógł był ponieść dla niej tę ofiarę, którą starała się osłodzić wszystkiemi siłami. Gdyby Ludwik nie był tak lekkomyślny i powierzchownie zapatrujący się na wszystko, usiłowania Heleny nie byłyby z pewnością daremne. Nigdy mąż nie widział na jej twarzy najlżejszej chmurki niezadowolenia, zawsze uśmiechnięta i powabna, stała się nawet niewinnie zalotną starając się strojem podnieść potęgę swych wdzięków.

Lecz wszystko napróżno; mąż całował ją z roztargnieniem, chwalił nawet jej piękność lecz czynił to prawie machinalnie, nie myśląc o tem co robi i w niczem nie zmieniał raz przyjętego trybu życia. Helena jednak nie uważała się za zaniedbaną małżonkę i powtarzała sobie w duchu:

— Cierpliwości trochę a Ludwik powróci do mnie bardziej czuły i kochający niż przedtem; niechno tylko przestanę pełnić obowiązki mamki, które pochłaniają mi tak wiele czasu.

I przyzwyczajona zawsze brać wszystko z dobrej strony marzyła, że szczęście jej zakwitnie na nowo. Nie wiedziała biedaczka jak daleko odbiegły od niej te marzenia i zbyt prędko miała się o tem przekonać!

Ponieważ Ludwik wychodził prawie co wieczór, Helena spędzała godzinkę lub dwie w osamotnionych komnatach mężowskich i to sprawiało jej wielką przyjemność. Zdawało jej się, że tym sposobem zbliżała się do niego i że tchnienie gorącego uczucia, jakiem przejęte było jej serce, unosząc się niewidzialne nad Ludwikiem, wzruszy go wreszcie i nawróci ku żonie.

Nie polegając na służbie, młoda kobieta sama ustawiała i porządkowała drobiazgi na biurku i kominku, przekładała pachnącemi woreczkami bieliznę i ubranie w szafach, jednem słowem wszystkie te drobne a miłe starania, jakiemi radaby była otoczyć ukochaną istotę, przelewała na martwe przedmioty z jakiemi Ludwik ciągle przestawał. Wreszcie ukończywszy zajęcie troskliwej gosposi, zasiadała w fotelu Ludwika i biorąc ze stołu zaczętą przez niego broszurkę lub książkę, starała się iść torem jego myśli i duchem zjednoczyć się z nieobecnym. Nieraz zaczytała się długo i pewnego wieczora zaledwo uniknęła spotkania z mężem, który wracał o północy, pośpiewując jakąś aryjkę z operetki. Helena z bijącem sercem wysunęła się z pokoju, unosząc ze sobą światło: nie chciała bowiem aby mąż zastał ją w swym gabinecie i nie posądził o prostą ciekawość.

Ludwik nie domyślał się nawet, że żona tak często przebywa w jego pokoju, nie odgadł co za opiekuńcza wróżka czuwa nad jego wygodą i porządkiem.

Widząc ład, nie dochodził bynajmniej czyja ręką pracuje tajemniczo nad jego utrzymaniem a może i nie zwracał uwagi na ulepszenia w domu, gdyż z natury nie był zbyt porządnym. Klucze, pieniądze, papiery, wszystko wlokło się u niego po stolikach, kieszeniach lub kubkach, umieszczonych nad kominkiem.

Pewnego dnia wieczorem, gdy przedstawiano pierwszy raz jakąś sztukę w Palais-Royal, Ludwik wyszedł z domu zaraz po obiedzie. Helena smutna i rozdrażniona ułożyła do snu dziecię i pograwszy w karty z panią Hérault, udała się do saloniku, poprzedzającego sypialnię męża.

Cisza i półcień panujący tutaj usposabiały do zadumy i młoda kobieta nie mogła oprzéć się bolesnemu wrażeniu, które ściskało jej duszę. Nie miała wprawdzie widocznego powodu zmartwienia a pomimo to rzuciwszy się na fotel, płakała rzewnemi łzami tłumiąc łkania gwałtem wyrywające się z jej piersi. Ogarnęło ją jakoby przeczucie blizkiego nieszczęścia, które jej groziło a może już i spełnionem zostało, tylko że ona jeszcze o tem nie wiedziała.

Upłynęło może z pół godziny i Helena rozsądna i mężna jak zawsze, wysiłkiem woli zapanowała nad swem rozdrażnieniem. Gniewna na samą siebie, że dręczyła się bez powodu i że rostrój nerwowy zwyciężył jej siły moralne, zburczała się w duchu surowo i aby się otrząsnąć z niemiłego wrażenia, wstała i weszła do sypialni męża, aby ją uporządkować i fizycznem znużeniem przytłumić nieokreśloną trwogę miotającą jej sercem.

Pokój zastała w takim nieładzie w jakim Ludwik zostawił go wychodząc, służba zasiedziała się snać przy obiedzie i nikt jeszcze nie przyszedł tu sprzątać. Helena podjęła ubranie leżące na dywanie i chcąc uporządkować papiery rozrzucone niedbale na stoliku, zebrała je i chciała włożyć do szuflady, gdy wzrok jej przypadkiem spoczął na małej ćwiartce pargaminu, ozdobionej w jednym rogu łacińską dewizą, wybitą gotyckiemi literami stalowo błękitnej barwy. „Amo et odi” brzmiał łaciński napis a poniżej śmiała, pewna ręka nakreśliła następujące wyrazy:

„Jutro o godzinie trzeciej po południu, ulica de Moscou.”

I nic więcej, na bilecie nie było żadnego podpisu.

Helena stała nieruchoma jak posąg, wszystkie papiery rozsypały się po stole a w ręku została jej tylko mała ćwiartka pargaminu, od której oczu nie mogła oderwać. Nie zbyt dobrze rozumiała łacińskie wyrazy lecz metaliczną barwą mieniące się zgłoski wiły się przed jej wzrokiem, jak sploty jadowitej żmii. Zdawało jej się, że te litery ukłuły ją w samo serce. Machinalnie podniosła bilet do twarzy i odetchnęła odurzającą wonią perfum jaką nasycona była kartka pargaminu. Teraz nie wątpiła już, że list pochodził od rywalki. Krew falą uderzyła jej do głowy, nogi zachwiały się pod nią i wszystko zaczęło wirować dokoła; niewypowiedziana boleść ścisnęła jej serce i biedna kobieta blizka omdlenia, zdołała przecież wyciągnąć rękę do karafki z wodą i zwilżywszy chusteczkę przyłożyła ją do skroni i czoła.

Po chwili odzyskała przytomność umysłu i zaczęła znowu przypatrywać się bilecikowi, którego zagadkowe wyrazy stanowiły może o jej całej przyszłości. Jutro, o trzeciej godzinie po południu... Ale dlaczegóż ta schadzka miałaby być występną? Nie ulegało wątpliwości, że bilet ten pisała kobieta, lecz to jeszcze nie dowód, aby miała być kochanką jej męża. Helena ze wstrętem odpychała to przypuszczenie, ale silna, rozkosznie odurzająca zmysły woń bileciku, była chyba aż nadto potępiającym dowodem. Takich wonnych liścików nie pisuje się do obojętnych osób. Wytworne lecz do głowy bijące perfumy zdradzały istotę zalotną, która wabiąc ku sobie mężczyzn całą siłą swej cielesnej piękności, chciała nawet z oddalenia trzymać ich pod czarem upajających wspomnień, między któremi i ów zapach niepoślednią odgrywał rolę. Była to jakby zręcznie, w małych dozach podana trucizna. Tak, nie ulegało żadnej wątpliwości, bilet ten pisała kochanka!... Ale kiedy go kreśliła i na kiedy naznaczona była schadzka? Trudno odgadnąć, na liście bowiem jak to już wspominaliśmy, nie było żadnej daty.

Ludwik mógł go odebrać wieczorem lub rano... Helena gubiła się w domysłach i drżała na samą myśl, że Ludwik widział się już z kochanką, że wracając do domu czuł jeszcze na licach gorące jej pocałunki. A może... może dopiero nazajutrz mieli się spotkać o godzinie trzeciej po południu na ulicy de Moscou... Lecz cóż z tego że wiedziała nazwę ulicy jeśli nie wiedziała numeru domu; oczywiście mąż jej doskonale był powiadomiony o adresie skoro nie dołączono dlań żadnych szczegółów. Musiał się gdzieindziej widywać z tą kobietą jeśli naznaczała mu miejsce, gdzie się z nią dnia tego spotkać może. Wszystkie te przypuszczenia z nieubłaganą logiką przesuwały się w umyśle Heleny, ciemności otaczające ją dotąd rozjaśniły się nagle, ukazując jej okropną, przerażającą rzeczywistość.

Nie chcąc najmniejszej zachować wątpliwości, pobiegła do biblioteki i zaczęła w niej szukać łacińskiego słownika. Wyraz „odi” był dla niej zawiłą zagadką, zdawało jej się, że gdyby zrozumiała ten jeden wyraz, wszystko wyjaśniłoby jej się w oka mgnieniu. Nareszcie znalazła upragnioną książkę i z gorączkowym pośpiechem przerzucając kartki, powtarzała machinalnie jakby usiłując zakląć tajemnicze słowo:

— Odi... odi... odi... otóż jest! Odi... nienawidzę!...

Jeszcze raz spojrzała na bilet i przeczytała: „Amo et odi”.

— To znaczy dosłownie: kocham i nienawidzę!— rzekła sobie w duchu.

Poczem włożyła słownik na właściwe miejsce, zamknęła bibliotekę i blada jak widmo wróciła do pokoju męża. Przed oczami jej wyobraźni zjawiła się w tej chwili postać jasnowłosej kobiety, którą spotkała po raz pierwszy, będąc z Emilią na wystawie obrazów, a która spoglądała na nią z wyrazem jawnej nienawiści.

Nie wątpiła już teraz, że rywalką jej była piękna Dianna Olifaunt. Miłość i nienawiść, które tak zuchwale głosiła w obec świata, odnosiły się do niej i do Ludwika.

Kochała Ludwika a nienawidziła Helenę.

Młoda kobieta napozór chłodna i spokojna, cierpiała jednak w tej chwili niewymowne katusze, głęboka boleść szarpała jej duszą. Poprzedni nieokreślony smutek był niejako magnetycznem przeczuciem mającego uderzyć w nią nieszczęścia. Oburzała się do najwyższego stopnia na tę kobietę, która tak bezwstydnie wydzierała jej szczęście. Wszystko co się zdarzyło przez półtora roku, stanęło jej teraz żywo w pamięci, nie łudziła się bynajmniej i z męztwem właściwem wzniosłemu charakterowi zdawała sobie sprawę z obecnego swego położenia. Teraz dopiero oceniła całą doniosłość rad jakich Emilia jej udzieliła a które ona nieoględnie odrzuciła.

W tej chwili przypomniała sobie, że panna Lereboulley jeszcze przed ślubem przepowiedziała jej nieszczęśliwą przyszłość jeśli zostanie żoną Ludwika. Zdawało jej się, że słyszy jeszcze jej słowa:

— Ludwik to dziecko słabe i bezwłasnowolne... radzę ci, zostań żoną Klemensa de Thauziat...

I piękna, wyniosła postać Klemensa zjawiła się przed oczami jej wyobraźni a śniadawa jego twarz mieniła się takim wyrazem bólu i rozpaczy, że serce Heleny aż zadrżało z żalu i litości. On także cierpiał i był nieszczęśliwy... Jak on spoglądał na małego Piotrusia spotkawszy się z nią w kościele, z jakim akcentem wymówił te słowa stosujące się do dzieciny:

— Życzę mu z całej duszy, aby we wszystkiem podobnym był do matki.

O! bezwątpienia, wyszedłszy zamąż za Klemensa byłaby stokroć szczęśliwsza, nie taiła tego nawet przed sobą. Każda myśl, każdy czyn Klemensa do niejby się tylko odnosił, Thauziat uwielbiałby ją jak bóstwo a klęcząc u jej stóp spaliłby przed nią w ofierze własne serce, jako jedyne i godne takiego ideału kadzidło.

Myśl, że sama dobrowolnie odtrąciła od ust czarę tego szczęścia, wycisnęła łzy z oczu Heleny, lecz gniewnym ruchem obtarła je szybko wyrzucając sobie jako zdradę przeciw wierności małżeńskiej, ten mimowolny zwrot ku przeszłości. Jeśli Ludwik zawinił, ona przecież nie miała prawa rozpływać się we łzach i przeniewierzać mu się myślą tak jak on przeniewierzył jej się sercem. Ogarnęło ją nagle uczucie głębokiego osamotnienia, zdawało jej się, że cała podłość, wstyd i zdrada olbrzymim ciężarem gniotą jej wątłe ramiona. Stłumiony jęk rozpaczy wydarł się z jej piersi, lecz w tejże chwili przypomniała sobie, że znajduje się w pokoju męża i obawiając się, aby ją tam kto nie zobaczył taką zmieszaną i zrozpaczoną, pewnym krokiem wróciła do swojej sypialni.

Nocna lampa bladem światłem zaledwo oświetlała pokój, nadając sprzętom fantastyczne kształty. Helena nie zatrzymała się w sypialni lecz przeszła do pokoju małego Piotrusia i skinieniem ręki oddaliła kobietę czuwającą nad dziecięciem.

Następnie siadła obok kolebki i wsparłszy głowę o pręt żelazny, podtrzymujący firankę, pod której osłoną spało dziecię, puściła folgę zbolałemu sercu. Cierpiała strasznie, jednak w umyśle jej nie było ani śladu gniewu. Złożyła ręce a z duszy jej błagalna ku niebu popłynęła modlitwa.

— Boże mój! — szeptała zbladłemi usty. — Ty widzisz moje utrapienie, proszę Cię tylko o jedną w życiu pociechę, zostaw mi moje drogie dziecię, błagam Cię, nie odmawiaj mi tej największej łaski. Dopóki patrzéć będę na uśmiech mego dziecięcia, dopóki jego drobne rączyny wyciągają się ku mnie miłośnie, nie będę miała prawa skarżyć się na los i przyjmę z poddaniem choćby największą boleść. Syn będzie mi pociechą i ukojeniem a może przez niego zdołam nawrócić ojca!

Łzy płynęły strumieniem po jej licach i spadały jak krople ożywczej rosy na poduszkę dzieciny. Jedna z tych ciepłych perełek stoczyła się na twarzyczkę Piotrusia, który poruszył się, otworzył błękitne jak niebo oczęta i poznawszy matkę uśmiechnął się do niej radośnie. Po chwili znowu sen spokojny skleił jego powieki. Helena bliżej pochylając się ku dziecięciu dostrzegła na białej szyjce różowe kulki koralowego naszyjnika, który pani Olifaunt przysłała mu nazajutrz po owem spotkaniu w kościele. Biednej kobiecie wydało się, że klejnot ten jest zatruty i że wszystko co pochodzi od Dianny nieszczęście tylko sprowadzić może. Czemprędzej więc odpięła naszyjnik i zbliżywszy się do kominka, na którym suty jeszcze płonął ogień, bez namysłu wrzuciła kosztowny klejnot w płomienie. Poczem usiadła znów przy kolebce i czuwała dalej nie zwracając uwagi na upływające godziny.

Już szarawy brzask dnia zaczął się przedzierać przez zapuszczone firanki, gdy Helena znużona

cierpieniem i bezsennością zdrzemnęła się trochę położywszy się w ubraniu na łóżko.

Nazajutrz przy śniadaniu Ludwik był niezmiernie wesoły a względem żony tkliwy i uprzedzająco grzeczny. Radość przepełniała całą jego istotę i wylewała się bezwiednie na zewnątrz; gdyby mógł, świat cały przygarnąłby w ramiona.

Nie dostrzegł bynajmniej milczenia i niezwykłej bladości okrywającej lica żony, należał bowiem do rzędu tych miłych samolubów, którym zadowolenie własne udziela złudzenie, żewszyscy są równie jak oni szczęśliwi. Żartował z babcią, przedstawiał Helenie swoje finansowe projekta, słowem jak wspaniałomyślny władzca obdarzał łaskawością i uśmiechami wierną swoją drużynę i wstał od stołu z głębokiem przekonaniem, że godnie spełnił obowiązki pana domu.

Helena przeciwnie, niezdolna zapanować nad sobą, blada i zmieniona, byłaby z pewnością nie ukryła swych cierpień przed okiem człowieka, bardziej niż Ludwik obdarzonego zmysłem spostrzegawczym. Mąż jednak żadnej nie dostrzegł w niej zmiany. Przez cały czas jak trwało śniadanie, Helena nie odezwała się ani słówka i nic prawie nie jadła. Gwałtowna gorączka paliła ją wewnątrz i młoda kobieta co chwila podnosiła do ust szklankę z wodą, aby się orzeźwić i przytłumić ogień, który ją pożerał.

Z gorzkim uśmiechem słuchała dowcipnych słówek męża, mówiąc sobie w duchu, że radość promieniejąca w jego spojrzeniu i mowie, wypływa jedynie albo z zadowolenia, że wczoraj widział się z kochanką, albo z błogiej nadziei zobaczenia jej dzisiaj. Obłuda Ludwika doprowadzała ją do rozpaczy, wolałaby znosić najbardziej gwałtowne i szorstkie z jego strony obejście niż słuchać szkaradnych kłamstw, któremi się brzydziła. Gdyby był zawołał patrząc jej śmiało w oczy:

— Dosyć tej komedyi! Kocham inną kobietę i ciebie dla niej porzucę!

Helena odpowiedziałaby mu bezwątpienia:

— Uczyń jak ci się podoba! Postępek twój jest okrutny i niegodziwy ale nie podły. Złamałeś mi życie, zdeptałeś nielitościwie moje serce, ale przynajmniej nie kradniesz mego zaufania, nie brudzisz mnie pocałunkami, któremi teraz inną obdarzasz kobietę!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Października 1888 roku.

Wielkie magazyny paryzkie, w przyszłym dopiero tygodniu rozpoczynają wystawę zimowych nowości; obecnie widzimy w nich tylko szczątki towarów letnich. Mimo to nie brak przedmiotów do pisania, pierwsze bowiem zakłady krawieckie, przysposobiły już podczas lata mnóstwo kostyumów i okrywek, na porę nadchodzącą.

W pracowni panny Elizy Mery widzieliśmy w tych dniach bardzo piękną wyprawę, która daje nam dokładne pojęcie o nowym kierunku mody. Zaczynamy od ogólnych uwag, poczem przystąpimy do szczegółów.

W kolorach przyjętych nie widać prawie zmiany, wszystkie w ogólności mają odcień fałszywy, przyćmiony. Popielaty miesza się z błękitnym, lub zielonkowatym, zielony z mchowym, brązowy z oliwkowym, różowy (*vieu rose*), przypomina barwę zwiędłej róży, nazywają go także ceglastym (*brique*), niebieski wygląda jak niebo lekką przymglone chmurą, biały zachodzi w śmietankowy, żółty podobny do przypalonego w ogniu złota, albo do skóry duńskiej, ponsowy nawet stracił zwykłą sję jaskrawość i stał się jasno morderowym.

Co do materyi jedwabnych, najmodniejsze trzy rodzaje zwane: matlassé, granité i armure, pierwszy drobno pikowany, drugi w punkciki czyli w gęsią skórkę, trzeci w karpią łuszczkę nadzwyczaj drobną. Na takiem tle idzie rzucik z małych gałązek, tegoż samego koloru, w odcieniu jaśniejszym lub ciemniejszym. Deseń ten przerabiany wypukło, wygląda jakby haftowany.

Bardzo też modny pekin w pasy na dwa cale szerokie, pas jeden czarny atłasowy, drugi ponsowy, ceglasty lub zielony, przerabiany w drobny deseń. Ten pekin używa się wyłącznie na spódniczkę, na to idzie druga otwarta spódnica z gładkiej sycylianki lub z tkaniny wełnianej w odmiennym zupełnie kolorze, np. do spódniczki ceglastej, oliwkowo zielona, do ponsowej rezedowa i t. p.

U wielu sukien wełnianych, widzimy u dołu szlak, w wielkie tureckie palmy, lub inny wschodni deseń. Polki i długie tuniki po większej części wcale nie podpinane, układane w głębokie kontrafałdy. Turniury tak małe, że można wkrótce oczekiwać zupełnego ich usunięcia. Stan krótki, przepasany szeroką szarfą, przypomina czasy Dyrektoryatu lub pierwszego Cesarstwa. W rękawach niesłychana rozmaitość, noszą je zwykle szerokie, bufowane u ramienia na różny sposób, przepinane wstążką lub pasmanteryą.

Wyprawa z pracowni panny Mery, składała się z sukni ślubnej i kilku wizytowych kostyumów. Ślubna suknia pełna gustu a co więcej odrębna od tych jakie zazwyczaj widujemy. Spódnica z gładkiej materyi *faille*, układana w szerokie kontrafałdy. Na każdym fałdzie od dołu, dany wązki bukiet z pasmanteryi, zahaftowanej wypukło, wysoki na pół łokcia. Na to spada tren średniej długości zaokrąglony u dołu, z ciężkiej materyi broszowanej w bukiety, bez żadnego garnirunku. Od jednego boku do drugiego, łączy tren szlak z pasmanteryi, zahaftowany w kwiat pomarańczy, przechodzący ukośnie przez cały przód spódnicy. Stanik z materyi broszowanej, szeroko otwiera się z przodu na szmizetce z gazy jedwabnej, rzęsisto przymarszczonej, przody stanika łączy pasmanterya haftowana w kwiatki, przechodząca cztery razy w drabinkę. Rękawy sięgają zaledwie do łokcia, z pod tych wychodzą drugie z marszczonej gazy. Bukiecik upięty z boku szyi dopełnia ślicznego ubrania.

Suknia wizytowa. Spódniczka z materyi armure koloru Hawanna; u dołu szlak przerabiany w różnokolorowe palmy. Na to idzie tunika z szafirowego aksamitu, otwarta z przodu, bez żadnego podpięcia. Po obu stronach, wzdłuż przodów, odwinięte wyłogi z materyi Hawanna, przerabiane brzegiem w małe palemki. Stanik aksamitny całkiem otwarty, objęty na wykroju takimże szlaczkiem. Pod spód plastron, z marszczonej materyi Hawanna. Rękawy aksamitne rozcięte u ramienia i na łokciu, z pod tego rozcięcia, zwanego *crevé*, wychodzą buffy Hawanna; takież mankiety odwinięte u ręki.

Inny kostyum wizytowy. Spódnica z pekinu w pasy czarne i różowe *vieu rose*, na wierzch tunika z cienkiego kaszmiru popielato błękitnego *gris bleu*, objęta pięć razy plecionką czarną jedwabną, podbita materyą surah w odcieniu śmietankowym. Stanik kaszmirowy tworzy długą żakietkę; w tyle spadają dwie klapy objęte pletnią czarną; na klapach kieszenie przytwierdzone w podłuż guzami z oksydowanego srebra. Przody otwarte, pod spód idzie długa kamizelka pekinowa w pasy, złączona z żakietką rzędem wielkich guzików. Od szyi do dołu kamizelki spada żabot z kreponu indyjskiego.

Ubranie domowe na dzień przyjęcia gości. Spódniczka surah w kolorze ceglastym, cała zaprasowana w zakładki; stanik podobnie plisowany, zarówno jak i szerokie rękawy. Na to idzie polka bez rękawów, szeroko otwarta na przodzie, z pluszu w kolorze zielonkowato szarym (*rezeda*). Poły łączą się w stanie pletnią tego koloru jak polka, zahaftowaną w różnokolorowy deseń; takaż pletnia przechodzi powyżej przez piersi, tworzy także stojący kołnierz i mankiet u rękawów.

Paryżanki, które spędziły lato nad morzem w Bretanii, wywiozły ztamtąd ładny kostyum, naśladowany ze stroju wieśniaczek miejscowych. Kostyum ten zbyt ekscentryczny na ulicę, służy tylko do domowego ubrania. Spódniczka z serży błękitnej, układana w grube kontrafałdy, ma u dołu szeroki szlak z białego sukienka haftowany kolorowym jedwabiem. Kaftanik do tego z takiejże serży, obcisły, otwarty z przodu, bez rękawów. Pod spód idzie plastron biały sukienny, cały zasiany haftem, rękawy białe mocno bufowane, mają u ręki zahaftowany mankiecik.

Żakietki powszechnie przyjęte, wielka w nich rozmaitość. Dajemy tu kilka modeli.

Westka Directoire, z zielonego aksamitu, otwarta szeroko. Przody ścięte w ząb, znacznie przedłużone, spadają wolno; plecy obcisłe tworzą karoko nakształt fraczka. Z obu stron idą szerokie wyłogi z białego sukienka, połączone z odwiniętym kołnierzem. Pod spód chusteczka z białego *surah*, przyfałdowana, zakłada się na krzyż, z pod tej chusteczki w górze wygląda plastron zielony aksamitny, naszyty jaśniejszemi paciorkami wokoło stanu, pod żakietką przechodzi szeroki pas zielony ułożony w trzy fałdy.

Druga żakietka z czarnego aksamitu cała naszywana dżetem, nie ma wcale rękawów, od pleców spadają małe klapki. Pod spód szmizetka z surah w śmietankowym odcieniu, cała plisowana z szerokiemi rękawami również plisowanemi. U szyi szmizetka ujęta w czarną aksamitną opaskę z dżetem, takież mankiety u rękawów.

Trzecia żakietka zwana Redfern, z sukienka w kolorze ciemno machoniowym, wcięta w plecach z karokiem, ma przody otwarte, luźno puszczone, obłożone pluszem tegoż koloru. Wyłogi te przytwierdzone po bokach rzędem oksydowanych guzików. Rękawy obcisłe, mankiet szeroki pluszowy. Pod spód idzie biała jedwabna kamizelka, zapięta z boku, otwarta w górze, a pod nią koszulka męzka batystowa, z wysokim kołnierzem, podwiązanym batystową krawatką.

Krawiec Redfern, anglik, osiadły niedawno w Paryżu, używa tu wielkiej wziętości. On to wprowadził w modę owe kostyumy angielskie z sukna lub serży, obcisłe, sztywne, przypominające ubiór męzki. Niektórem paniom ta nowość przypadła do smaku, ale większa część trzyma się mo-

dy francuzkiej tak pełnej wdzięku w rozmaitości swojej.

Czysto paryzką cechę, mają za to maleńkie żakietki Figaro, otwarte, bez rękawów, zaokrąglone na przodzie, nie dosięgające stanu, widzieliśmy je ciemno ponsowe aksamitne, objęte galonikiem złotym z grelotkami. Pod spód idzie bluzka czarna koronkowa, u dołu zakończona wolantem, obciśnięta paskiem z ponsowej i złotej pasmanteryi. Koronkowe rękawy bufowane, przepięte podobną pasmanteryą.

Takież same żakietki robią z ciężkiej materyi czarnej, naszytej dżetowemi paciorkami.

O kapeluszach nie wiele jeszcze powiedzieć możemy. Nie brak nowych modeli, moda jednak wacha się wśród tej rozmaitości. To tylko wiemy, że okrągłe kapelusze, mają szerokie ronda, ozdobione pękiem piór strusich. Forma kapotek zawsze piramidalna, uważaliśmy niektóre z materyi haftowanej złotem i jedwabiem, inne z atłasu i aksamitu, przystrojone koronką czarną. Wolant pokrywa z wierzchu rondo przystające do czoła.

Wymyślono tu nowy rodzaj kapelusików zwanych *boa*. Wkoło główki aksamitnej lub kastorowej idzie *boa* z piór czarnych lub kolorowych, wąż ten przedłużony w tyle, zwraca się do przodu wokoło szyi. Można wnosić, że ten rodzaj znajdzie powodzenie, gdyż boa wszelkiego rodzaju należą dziś do panującej mody. Widzimy je w różnych kolorach, z różnych materyałów, to z futra, to z piórek, to z koronki okręconej na wałku, to z materyi strzyżonej w ząbki. Jedne z nich długie na dwa metry, inne krótkie, wiążą się u szyi na kokardę.

O płaszczykach powiemy w przyszłem sprawozdaniu. Z tych najmodniejsze rotondy długie do ziemi, wcięte na plecach. Z boku spada osobny bryt tejże samej długości jak rotonda i tworzy jakby wielki rękaw. Robią je z rozmaitych tkanin wełnianych lub z czarnej sycylianki jedwabnej, lekko podwatowane, objęte grelotkami, przybrane pasmanteryą.

S. D.

WIADOMOŚCI

Z RÓŻNYCH STRON.

Rzucona w numerze przeszłym Tygodnika Mód, myśl urządzania zebrań rodzinnych dla wspólnej zabawy i pogawędki, być może, że jeszcze w tym roku w wykonanie wejdzie.

W pewnem bowiem gronie członków resursy obywatelskiej, powstał projekt urozmaicenia zimowego sezonu. A więc po za grą w karty i bilard, oraz wieczornemi tańcami w karnawale, będą urządzone „herbaty familijne".

Pod taką nazwą w sobotę każdego tygodnia mają się zbierać członkowie z rodzinami i spędzać czas na muzyce, śpiewie, oraz deklamacyi.

Rzeczą członków urządzających będzie zaproszenie artystów i amatorów, lecz bez żadnego z góry ułożonego programu.

Nie jest to wprawdzie to cośmy radzili ale wielce zbliżone i być bardzo może, że jeżli rozwinie się należycie, pomału zmieni się na codzienne zebrania.

Warunek tylko konieczny, aby w rozwijaniu tej nowości, wzgląd na oszczędność był zachowany i aby stroje nigdy nie były balowe tylko jak najskromniejsze, domowe a najwyżej wizytowe.

Z prawdziwą przyjemnością donosimy, że projekt ks. Ambrożewicza, dotyczący otwarcia praktycznych kursów dla organistów, nadspodziewanie szybko zostaje w czyn wprowadzony.

Już w połowie przyszłego miesiąca kursa będą otworzone w posesyi na Koszykach, gdzie dotąd się jeszcze mieści Muzeum pszczelnicze.

Stosownie do ułożonego programu, kandydaci na organistów mają się uczyć pod kierunkiem uzdolnionych specjalistów: gry na organach i śpiewu kościelnego.

Nadto każdy kandydat obowiązkowo musi się praktycznie obznajmiać z ogrodownictwem i pasiecznictwem, tak, aby w przyszłości nietylko sam mógł założyć ogród i pasiekę, lecz zarazem udzielać potrzebnych wskazówek włościanom.

Oprócz obowiązkowego kursu ogrodownictwa i pasiecznictwa, dla życzących sobie będzie urządzony dodatkowy kurs hodowli ryb.

Uzdolniony specyalista wskaże przyszłym organistom racyonalne sposoby zarybiania stawów i sadzawek, oraz eksploatacyi przemysłu rybnego.

Bliższe szczegóły zapisów, opłat i t. p. będą niebawem przez ks. Ambrożewicza ogłoszone.

Pan Wiktoryn Ostrowski, właściciel majątku pod Nowomińskiem, przedstawił w redakcyi Kuryera Codziennego popiersie kobiety, ulepione z gliny przez dwudziestodwuletniego włościanina Konstantego Glaszczkę, ulepione przy pomocy palców i tego daru, którego nabyć nie można, bo go Bóg sam wlewa w piersi człowieka...

Kobieta ta, zdaje się, iż żyje i jest dowodem prawdziwego talentu jego autora, talentu, który powinien być rozwinięty nauką i pracą.

A do jednej i drugiej garnie się młody Glaszczka, którego najulubieńszem zajęciem jest czytać i lepić...

Czyniąc zadość nieprzepartemu życzeniu chłopca, pan Ostrowski przybył, aby go polecić opiece jakiego z tutejszych artystów rzeźbiarzy.

Być może, iż wyrośnie zeń znakomitość.

Miodosytnia. Pod tą nazwą jeden z tutejszych miodosytników otwiera z dniem 1-ym Października wielki handel miodów do picia, oraz win owocowych.

Będą więc tu: dereniak, porzecznik, jabłecznik, wiśniak, czereśniak i t. d.

Napoje mają być sprzedawane nietylko weflaszkach, lecz na szklanki w stosownie urządzonym przy sklepie lokalu.

A może się powiedzie?

Za rogatką belwederską puszczona została w ruch nowa fabryka parowa mydeł pachnących, zatrudniająca na początek kilkudziesięciu robotników i robotnic.

Warszawska fabryka wagonów, przy zakładach przemysłowo-fabrycznych firmy Lilpop i Rau, między innemi otrzymała świeżo zamówienie na dostawę 30 dużych 6 kołowych platform dla jednej z ruskich kolei.

Założona niedawno wnaszem mieście przez francuzkich przemysłowców fabryka sztucznego kamienia betonowego otrzymała dostawę 50,000 płyt do chodników na potrzeby m. Moskwy.

Na ulicy Krochmalnej rozpoczęto budowę dużej fabryki tytuniu.

Zakłada ją spółka kapitalistów miejscowych.

W krótkim czasie zacznie funkcyonować w naszem mieście fabryka izolacyi drutu.

W tych dniach powróciła do Warszawy Agnieszka Tuszewska, tutejsza mieszkanka, która dała dowód wielkiej wytrwałości w poszukiwaniu swego małżonka.

Tomasz Tuszewski, wzięty do wojska, był przeznaczony do Turkiestanu, zkąd napisawszy kilka listów, zamilkł później zupełnie. Opuszczona małżonka, informując się u władz wojskowych otrzymała wiadomość, iż Tuszewski dla słabości zdrowia otrzymał dymisyę, lecz co się dalej z nim stało, nie było wiadomym. Tuszewska postanowiła bądźcobądź męża żywego lub umarłego odszukać. Ze szczupłym funduszem, wynoszącym niespełna 100 rs., odważna kobieta puściła się w drogę dnia 18 Kwietnia 1885 roku. Doznawszy mnóstwa przygód, męża odnalazła, lecz ożenionego z inną. Tuszewski przed upływem śledztwa, wytoczonego o dwużeństwo, zmarł w więzieniu.

Wdowa po trzyletniej blizko nieobecności powróciła z aktem zejścia małżonka do Warszawy.

Nie pierwszy to wypadek dwużeństwa i odnalezienia wiarołomnego małżonka. Przed tygodniem doniosły Kuryery o podobnem zdarzeniu, z tą tylko różnicą, że czyn ten kryminalnie karany, opuszczona żona w tajemnicy trzymała i dopiero wydało się wszystko, gdy przystąpiła z prawami swemi do sukcesyi. Jak sądy sprawę tę osądzą, nie wiadomo jeszcze, ale podobno właściwa żona za ukrywanie przestępstwa męża swego, będzie ukaraną więzieniem dwuletniem i osiedleniem na Syberyi.

Znany poeta i polityk słowacki M. Mednianki (Duszan Sawa Pepkin), którego życiorys był w swoim czasie umieszczony w „Tygodniku Illustrowanym", ogłasza w Narodnich Prohledach pracę „Moja cesta medzi polakami" (Moja podróż po Polsce). Przyjaciel jego W. Karoli ma przełożyć tę pracę na język polski. Może niezadługo ją ujrzemy.

Odznaczenie. W konkursie na podręcznik okulistyki, ogłoszonym w Baltimore w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, otrzymała pierwszą nagrodę Polka Zofia Oblęcka, doktorka medycyny w rzeczonem mieście.

Prożba dziecka. W jednym z dzienników londyńskich umieszczone było niedawno następujące ogłoszenie:

„Mam sześć lat, jestem bardzo grzeczna, mimo to rodzice obchodzą się źle ze mną, nie dają mi wcale jeść, a ponieważ dłużej tego wytrzymać nie mogę, proszę dobrych ludzi, żeby mnie do siebie wzięli".

Redakcya pod ogłoszeniem tem dodała, iż przyszła do biura mała bosa dziewczynka z ogłoszeniem niewprawną, dziecinną ręką napisanem i płacząc prosiła o umieszczenie. Przeszło 700 osób zgłosiło się po dziecinę, rozpoczął się istny konkurs i w końcu przyznano ją lady Garmont, damie dworu królowej Wiktoryi. W kilka dni później maleńka, wykwintnie ubrana, z lokajami w liberyi przyszła do redakcyi podziękować za wydrukowanie ogłoszenia.

Kobieta żołnierz. W Bélés-Gyula na Węgrzech, odbyła się niedawno uroczystość odsłonienia nagrobka, poświęconego pamięci ekscentrycznej kobiety, pani Pfiffner, córki wyższego oficera austryackiego, urodzonej w Mezohegyes. Będąc jeszcze bardzo młodą, Paula, która nosiła zawsze strój męzki, zdumiewała wszystkich celnością strzałów i niezwykle zręcznym fechtunkiem. Gdy ojca jej przeniesiono do Galicyi, Pfiffner pozosta-

ła w miejscu swego pobytu. Następnie z zamiłowaniem poświęciła się sztuce dramatycznej, występując w rolach męzkich pod nazwiskiem Kolomana Ligeti'ego, a gdy w roku 1848 wybuchła wojna o wyswobodzenie, Paula Pfiffner przyjęta do legionu wiedeńskiego, zasłynęła walecznością i w kilku bitwach odniosła rany. Za odznaczenie się dostała medal i awans na lejtenanta, lecz schwytana przez Austryaków, którzy przekonawszy się, że należy do piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego, odstawili ją do Galicyi i oddali ojcu. Po katastrofie pod Vilagos, Pfiffner nie mogąc pokonać tęsknoty po kraju rodzinnym, powróciła do Gyula, gdzie w dalszym ciągu pędziła życie jak poprzednio, udając młodzieńca i podbijając dla zabawki dziewicze serduszka. Nakoniec zdradzona i wydana policyi, wystrzałem karabinowym pozbawiła się życia.

— Ogrodnicza praca miła bardzo, panie ogrodniku, ciągłe przy niej obcowanie z naturą, podnosi ducha ludzkiego.

— No, zapewne, miła, bardzo miła. Naprzykład na tej grzędzie zasadziłem fasolę, a co pan sądzi że wzeszła?

— No naturalnie, wzeszła fasola.

— Nie, panie, nie wzeszło nic, bo świnie weszły i wszystko poryły i pożarły.

* * *

Groźna skała. Do „St. Petersburger Ztg." piszą z Sewastopola: „Po nad linią kolejową pod Inkermanem zawisły groźne skały. Gdyby skały te, podmyte wodą deszczową, spadły na przejeżdżający pociąg, pozostałyby z niego tylko drzazgi. Dyrektor kolei zwołał zatem inżynierów, wskutek czego rzecz ową zbadano wedle wszelkich prawideł sztuki. Napisano memoryał i posłano gdzie należy; w memoryale zaś tym wyłuszczono, że na koszta rozsadzenia skał potrzeba około 12,000 rubli. Memoryał ów poszedł na pocztę, a tymczasem skały wisiały i wisiały. Inżynierowie zgromadzili się zatem jeszcze raz i radzili. Wtem zbliżył się do nich skromny, ale pewny swego, przedsiebiercа, który z łomów inkermańskich dostarczał pięknych, białych kamieni do wspaniałych budowli w Sewastopolu i oświadczył, że usunie owe groźne skały, jeżeli dyrektor wynagrodzi go należycie. Inżynierowie wyśmieli jednak prostaczka i odwrócili się. Ale dyrektor postanowił zażartować z niego i spytał, jak on to uczynić zamierza.

— To moja tajemnica—odparł przedsiębierca dumnie—ale jeżeli mi pan da 1500 rubli, to zrobię to w przeciągu sześciu dni.

— Głupstwo!—zawołali inżynierowie i szydząc odeszli.

Zaledwie przedsiebierca znikł im z oczu, zbliżył się do dygnitarzy kolejowych prosty kamieniarz. Zdaleka już zdjął z głowy podartą czapkę i spytał:

— Wielmożni panowie, powiedzcie proszę, czy przedsiębierca dostał robotę?

— Nie.

— Aha, pewnie zadużo żądał. Co on chciał?

— 1500 rubli.

— A to łotr! Ja wyjawiłem mu tajemnicę, a on chciał się zaraz zbogacić. Wielmożni panowie, miejcie litość nad biednym człowiekiem, który ma małe dzieci. Dajcie mi 25 rubli, czterech robotników i trochę prochu, a ja rozsadzę skały.

Inżynierowie zdziwieni, co to ma znaczyć, zbliżyli się do kamieniarza. Kilku z nich sądziło, że chce ich oszukać, inni byli zdania, że należy spróbować,

Tymczasem kamieniarz błagał dalej:

— Wielmożni panowie, pozwólcie biedakowi zarobić sobie na święta.

— A kiedy skończysz?

— Dziś w nocy wywiercimy otwór, a jutro popołudniu niech panowie przyjdą, to będzie gotowe.

Dyrektor sięgnął do kieszeni, dał kamieniarzowi 25 rubli i rzekł:

— Słuchaj, tylko nie próbuj nas oszukać.

Nazajutrz dygnitarze zgromadzili się znów i w ich oczach kamieniarz zapalił lont, tkwiący w czterech otworach, w skałach wywierconych. Po chwili coś huknęło, wzniósł się dym, skały się nieco zarysowały, ale też i na tem się skończyło.

— Wiedziałem, że to głupstwo! — rzekł jeden z inżynierów, zbliżając się do skały.

Wtem kamieniarz wpadł na niego i przemocą porwał go w tył, wołając równocześnie:

— Panie, już idzie!

Wszyscy patrzyli ciekawie na skały, a trwało to minut 40, aż nareszcie ziemia się zatrzęsła, straszny huk zagłuszył wszystkich — na ziemię spadła skała, ważąca miliony pudów.

— A co, nie mówiłem! — tryumfował kamieniarz.

Dyrektor sięgnął znów do kieszeni i dał chłopu 100 rubli.

Skała została szczęśliwie usunięta kosztem 125 rubli, chociaż przekaz 12,000 rubli dotąd nie nadszedł.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Pierwszy kalendarz na rok 1889, odpowiadający właściwemu zadaniu informacyjno-sprawozdawczemu, ukazał się z druku, a wyszedł staraniem redakcyi „Wieku". Uwzględniony został przedewszystkiem dział prawodawczy, obejmujący w streszczeniu, a przystępnie wyłożone wszelkie rozporządzenia, ustawy i prawa, dotyczące naszych stosunków i obchodzących ogół. Jest dział literacki w którym napotykamy prace: Gomulickiego, Junoszy i Bożydara, życiorysy przypominają nam zmarłych w ciągu roku: Kasznicę, Jędrzejewicza, Przystańskiego, Majewskiego, Sabowskiego i Sowińskiego. Obszerny dział informacyjny kończy wydawnictwo.

ZAWIADOMIENIA.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 22 Сентября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.